

A. K. GREEN.

# Dom pod szumiącymi sosnami.

(Ciąg dalszy).

12

— Butelecza! — zawołał — Próżna buteleczka, ale... Ooracał ją zwolna pomiędzy palcami, aż zobaczył przylepioną karteczkę.

Na tej karteczce był tylko jeden wyraz, przerażający zawsze: „Trucizna“.

Sweetwater nie wrócił tej nocy do Nowego Yorku, choć już gotów był przed chwilą porzucić wszystko i wracać.

## XIX.

### TO NIE TO, CO TAM ZNAJDZIECIE...

— Przykro mi, że ci przeszkadzam Arturze; ale mam do ciebie interes wielkiej wagi i o tem ty powinieneś dowiedzieć się odrazu. Mówię to jako twój przyjaciel. Mogłem poczekać, aż cię ta wiadomość dojdzie ubocznie albo z wieczornych gazet; wolę jednak powiedzieć ci to wcześniej. Rozumiesz dlaczego.

Chmurny i nasepiony młodzieniec spojrział lekko na starego przyjaciela swego ojca i zawołał niechętnie:

— Niechże pan mówi! Ja nie umiem zgadywać. Cóż się więc stało?

— Zrobiono odkrycie. Dostyc poważne, zdaje się; w każdym razie zmusi to policję do nowego działania. Być może, że siostra pańska niezupełnie z samego uduszenia zginęła. Mogły tu działać i inne przyczyny!

— Jaktó! co pan ma na myśli?

Artur Cumberland był w tej chwili gospodarzem pod własnym swoim dachem i był w obecności człowieka, któremu w nien był szacunek; ale ani trochę nie starał się ukryć passyi, którą w nim te słowa wzniciły.

— Chciałbym też wiedzieć, co za nowe szelmostwo macie teraz w głowie! Czy nigdy wreszcie nie będę miał spokoju?

— Spokój i tragedia rzadko chodzą w parze — odpowiedział łagodnie dr. Perry. — Popelniono wielką zbrodnię. Wszyscy członkowie rodziny są w tem zainteresowani, nie mówiąc o tym, którego uwieźliśmy na mocy podejrzenia. Spokój dopiero powróci, gdy zbrodnia zostanie należycie wyjaśniona, a winny ukaranym. Ale w pierw wyjaśnienie, a potem kara. Mr. Ranelagh twierdził, że znalazł miss Cumberland już nieżywą, gdy się do niej zbliżył, a wielu teraz przypuszcza, że to nie był zuchwały wykret zbrodniarza, przyłapanego na gorącym uczynku, że to miało istotną podstawę.

— Nie wierzę w to. Nigdy w to nie uwierzę! — burzył się tamten i zerwawszy się, zaczął biegać do pokoju. — To wszystko wymysł, żeby ocalić ulubienca towarzystwa. Towarzystwo! tyle ja sobie z nich wszystkich robię! — krzyknął, pokazując figę.

— Arturze!

— Jest on prezesem klubu; jest ulubieńcem kobiet; podobają się ludziom jego manieri, jego wesołość, umie się ludziom przypodobać, brać ich za serce... Nie będzie się on tak weselił, gdy stanie przed sądem przysięgłych, obwiniony o morderstwo; nie będzie zwodził tak łatwo i mężczyzn i kobiet, nawet gdyby go przez słabość uniewinnił mien! Zawsze trochę błotka przyłgaie do niego. A jeśli nie, to ja...

I znowu rękoma uczynił ten straszny, ten wiele mówiący gest, co i na pogrzebie siostry.

Doktor Perry siedział przynębiony, zmieszany, rozdwojony pomiędzy wątpliwości swe, przekonania, współczucie dla tego człowieka, a wstręt do tego roznamiętnienia, które chętnieby przebaczył, gdyby był zupełnie pewien, jakie jest jego źródło i jaki motyw.

Cumberland musiał odczuć, co się pod tem milczeniem ukrywa, albo też zrozumiał, że nieprzezwornie jest tak się unosić, gdyż opuścił ręce, wstępnawszy niecierpliwie i burknął szorstko.

— Ale nie powiedział mi pan jeszcze, jakie to odkrycie zrobiono. Zdaje mi się, że to już trochę późno na nowe odkrycia!

— To Sweetwater przy swojej wytrwałości zrobił je. Ten człowiek ma instynkt, można to powiedzieć. Wychylał się z okna tego małego pokoiku, w którym znaleziono płaszcz siostry twojej... i ujrzał zaczepioną w gałęziach dzikiego wina... pod sobą...

— Dlaczego pan nie kończy? Przecież ja nie wiem, co takiego znalazł. Niechże pan mówi!

— Buteleczkę — buteleczkę z apteki. Była na niej karteczka z napisem „Trucizna“, a pochodziła z tego domu.

Artur Cumberland drgnął — znać jednak było, że starał się opanować.

— Skądże pan wie, że ta buteleczka pochodziła z tego domu?

Dr. Perry spojrział zdziwiony. Przygotowany był na uniesienie gniewu, wściekłości, albo na tępe, osłupiałe milczenie. To spokojne, rzeczowe pytanie zaskoczyło go.

— Widział ją na półeczce parę osób z waszej służby. Siostra twoja trzymała ją pomiędzy swemi lekarstwami, aptekarz zaś, u którego wszystko bierzecie, pamięta, że sprzedawał to jakiś czas temu, któremuś z członków waszej rodziny.

— Któremu? Ja w tę bajeczkę nie wierzę. Ja nie wierzę w żadne z waszych... Unosił się znów gwałtownie.

— Będziesz musiał uwierzyć, Arturze. Fakty są faktami, a my się liczyć z nimi musimy. Osobą, która to kupowała, byłeś ty sam. Może sobie teraz tę okoliczność przypominasz.

— Nie mogę. — Widać było, że z trudem się opanowuje. — Ja często sam nie wiem, co robię; a przynajmniej dotąd tak bywało. Ale do czego pan zmierza? Co pan ma na myśli i jakie są pańskie zamiary? Zapewne coś, co ma nas nowym okryć wstydem. ani wątpli! Jest pan względny dla Ranelagh'a a ani pan zapyta, co ja czuję, ani co czuć będzie Karmela, gdy oprzytomnieje — biedna dziewczyna! Zapewne pan zechce teraz śmierć Adeli nazwać samobójstwem? To się nie da, wobec tych śladów na szyi!

— Musimy śledztwo prowadzić do końca. Będziemy musieli zrobić sekcję, choć z początku myśleliśmy, że to nie będzie potrzebne. Dlatego właśnie przyszedłem tu, Arturze. Uważałem, że tobie się to należy, byś wiedział o tym na-zym zamiarze. Jeżeli pyczysz sobie być obecnym, powiedz... Jeżeli nie, pamiętaj, że ona była córką mego przyjaciela i moją także przyjaciółką.

Wstrząśnięty do głębi, młody człowiek usiadł; przez chwilę nie mógł wymówić słowa. Znikła gwałtowność, pewność siebie i zuchwałość jego zachowanie się względem gościa. Cios nadto był ciężki. Już nie był w tej chwili mężczyzną, walczącym ze swą niedolą, ale chłopcem, na którego barki spadły odpowiedzialności, cierpienia i troski dojrzałego wieku.

— Mój obowiązek tu mnie zatrzymuje — rzekł wkońcu. — Nie mogę opuścić Karmeli.

— Sekcja odbędzie się jutro. Jakżesz się dziś ma Karmela?

— Nie lepiej. — Wstrząsnął się przy tych słowach. — Doktorze, ja taki szorstki byłem względem pana! Jestem do niczego! Złe używałem życia, a teraz nie mam siły, gdy przyszło na mnie nie-szczęście... To, co pan chcesz zrobić z Adela, jest dla mnie straszne. Ja nie bardzo ją kochałem, dopóki żyła; ścigałem na nią ciągle zmartwienie i wstyd od rana do nocy, dzień za dniem. Ale choć byłem i jestem taki nie dobrego, gdybym mógł temu jej biednemu ciału oszczędzić tego ostatniego upokorzenia, chętnieby w tej chwili dał za to życie. Czy ta sekcja jest konieczna?

— Konieczna.

— Jeżeli tak — podniósł rękę i krew zalała mu czoło, policzki i szyję. — Niechże im pan każe dobrze pozamykać wszystkie butelki, które się w domu znajdują. bo ja za siebie nie odpowiadam... Chciałbym teraz pić i pić aż do utraty przytomności!...

— Nie będziesz pił, Arturze — głos dra Perry brzmiał powagą i serdecznością. — Nie będziesz pił, ale jutro o piątej przyjdiesz do mojego biura. Może będziemy mieli dla ciebie dobre wiadomości, może nic się takiego nie znajdzie, coby jeszcze sytuację skomplikować miało!

Artur Cumberland potrząsnął głową.

— Nie o to mi chodzi, co tam znajdziecie... — zaczął i przerwał, zagryzając wargi.

Dr. Perry wypowiedział jeszcze parę słów pocieszenia, ale młodzieniec jakby nic nie słyszał. Zaledwie pożegnał się z doktorem, wrócił na swoje miejsce, skąd mógł widzieć i słyszeć wciąż nieprzytomną siostrę. I w tejsz chwili też z poza zamkniętych drzwi usłyszał te słowa:

— Kwiaty!... Czuję zapach kwiatów! Lila! Tyś zawsze lubiła kwiaty, ale nie widziałam nigdy, żebyś kiedy miała tak pełne ręce kwiatów!

Artur krzyknął i zakrywając twarz rękami, wybuchnął głośnie i kaniem.

W dwadzieścia cztery godzin później w biurze doktora Perry oczekiwała niespokojna gromadka, roztrząsając sprawę i ewentualność nowych odkryć. Wyższy sędzia śledczy, Mr. Clifton, szef policji i jeszcze paru — między nimi Sweetwater — składali tę gromadkę. Doktora Perry tylko nie było. Podjął się sekcji i dlatego nieobecny był od kilku godzin.

Piąta wybiła. Oczekiwali go z chwili na chwilę.

Wtem drzwi otwarły się i wszedł młody Cumberland, blady, drżący i widocznie zenerwowany.

Powitany chłodno lecz grzecznie, siadł tam, gdzie wczoraj, o wiele spokojniejszy jednak niż wczoraj. Sweetwaterowi wydało się, że to spokój ostatecznej rozpacz; uwagę tę jednak schował dla siebie.

Tymczasem ponownie otworzyły się drzwi i wszedł dr. Perry, z miną nie tyle przynębioną ile osłupiałą. Ujrawszy wpośród zebranych Artura, już chciał się do niego zwrócić, lecz rozmyślił się nagle i przemówił do obecnych:

— Ukończyłem sekcję. Wiedziałem, jaką truciznę zawierała buteleczka, więc nie traciłem czasu na niepotrzebne próby. Mała odrobina tego płynu, śmiertelnego tylko w większej dawce, dostała się do żołądka, zamało jednak, by spowodować śmierć; ona umarła, jak już poprzednio osądziliśmy, z uduszenia. Jednakże...

Tu spojrział surowo na młodego Cumberlanda, który już zdradzał gotowość do nowego, szalonego wybuchu zarzutów w kierunku domniemanego sprawcy.

— Zrobiłem inne jeszcze odkrycie i to bardzo, być może, doniosłe. Gdy unosiliśmy ciało z trumny, ześliznęło się z jej piersi coś innego jeszcze, oprócz zwędzonych kwiatów. Pierścione, panowie, ten pierścione, którego, jak twierdzi Ranelagh, nie miała na palcu, gdy on ją znalazł, a którego na pewno nie miała, leżąc w trumnie. Ten pierścione ześliznął się i stoczył na podłogę. Oto jest; jest tu w każdym razie jedna osoba, która go będzie mogła rozpoznać. Ale tej nie pytajmy. Miejmy wzgląd...

Położył pierścione na stole, nie daleko od Artura, tak żeby ten mógł go widzieć. A sam siadł i ukrył twarz w dłoniach. Znać było po nim ciężkie strapienie tych dni ostatnich. Postarzał się o dziesięć lat.

Pamiętnem dla wszystkich obecnych pozostało to milczenie, które zapanowało teraz po tych jego słowach. Jedni sami widzieli, drugim opowiedziano, w jaki niemły sposób młody Cumberland przerwał obchód żałobny, jak ręka jego wtargnęła pomiędzy kwiaty, które dzieci siostrę jego zasypały. Na wspomnienie tego powstawali jeden za drugim i cofnęli się od stołu. Pozostali tylko na swoich miejscach wyższy sędzia śledczy i młody Cumberland.

Artur Cumberland, który wyciągnął już rękę ku pierścione, ale ją cofnął, wyglądał jak skamieniały. Nikt nie mógł odgadnąć, co się w sercu jego działo. Gdy wreszcie podniósł oczy, miał wyraz półprzemyślny i prawie potulny.

— Bóg raczy wiedzieć — szepnął — ja tych zagadek nie rozumiem. Radzcie sobie z tem panowie, jak uważacie.

Gdy jednak to mówił, oczy jego, wpatrzone w pierścione, rozszerzyły się i dziko zabłyśły.

— Przeklęty ten pierścione i przeklęty niech będzie ten, który jej go dał! Jakimkolwiek sposobem ten pierścione dostał się do trumny, to tamten jest na dnie tej sprawy, tak jak jest sprawcą jej śmierci. Jeżeli panowie inaczej myślcie, błaznicie strasznie!

Wstał i poszedł ku drzwiom. Było coś rozpacznego w jego ruchu. Nikt go nie zatrzymywał. Dopiero gdy wyszedł z pokoju, poruszył się ten i ów. A wtedy wyższy sędzia śledczy podniósł palec i Artur Cumberland nie wrócił już sam do domu.

## KSIĘGA III.

### UKRYTE NIESPODZIAŃKI.

## XX.

### „ON, ALBO TY! NIEMA TRZECIEGO!“

Przez kilka dni byłem bardzo chory. Dobre to dni były dla mnie, gdyż zbyt byłem słaby, ażeby móżd myśleć. A potem przyszedł okres świadomości wprawdzie, ale przytępienia i wreszcie obudziła się chęć życia i zaciekawienie, jak stoi sprawa moja, jak moja opinia? Co się też działo w czasie tej przerwy?

Miałem w pamięci mętny obraz twarzy Cliftona, stojącego przy moim łóżku, ale wiedziałem, że nie rozmawialiśmy. Kiedy on znów przyjdzie? Kiedy posłyszę o Karmeli, czy żyje jeszcze, czy też, podo-